ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | niedziela, 18 marca 1934 r. | Nr. 12

Helena Boguszewska

M o d e s t o w a

Fragment powieści „Całe życie Sabiny“

Z mieszkaniami skończone. Sabina oddycha, jakby odwaliła za siebie ciężką robotę. Nie, nie całą robotę, tylko część.. bo przecież chce, żeby jeszcze było dużo do przemyślenia, żeby jeszcze nie był koniec... Bo naprzykład taka rzecz: z mieszkaniami, zdawałoby się, skończone. Ale w każdem mieszkaniu była kuchnia, a w każdej kuchni był piec kuchenny i paka z węglami. A pomiędzy piecem a paką tkwiła służąca i była, jak ten piec i jak ta paka, jak łóżko i stół, i szafa, jak obiad i buty, jak wszystko, bez czego nie można żyć... Tkwiła, a czasem „latała“, a jak „wyleciała“, to gdzieś „siedziała“, i to właśnie wtedy, kiedy powinna była jaknajbardziej tkwić i podać Sabinie herbaty. A kiedy Sabina chciała drugiej szklanki, to okazywało się, że jest właśnie dolane...

I do każdej z nich mówiło się „ty“ i „żeby mi“... a już w najlepszym razie „żeby Leosia“... I o każdej z nich mówiło się przy niej samej po francusku, i każda miała przy tem taką twarz, jakby rozumiała, i Sabina, jak była mała, zawsze się wstydziła i bała się, że ona jednak jakimś cudem rozumie... ale dorośli już się nie wstydzą takich rzeczy. Więc się mówiło o każdej, że wprawdzie to i owo jest źle, ale lepiej już to znosić cierpliwie, niż zmieniać, bo te ciągłe zmiany, to też na nic... Może być jeszcze gorzej a tak, to przynajmniej wiadomo, jak jest. I o każdej okazywało się w końcu, że właśnie niewiadomo, jak jest...

Modestowa...

Ach, nie — Modestowa, to co innego... Modestowa nie tkwiła nigdy pomiędzy piecem kuchennym a paką z węglami. Przedewszystkiem dlatego, że tam wogóle nie było paki z węglami, tylko „drewutnia“, miła drewutnia, pełna pachnącego brzozowem drzewem mroku, pełna tajemniczości, jak strych... drewutnia, gdzie można się było chować przy zabawie w chowanego, bo nie „było wymówione...“

Ale przecież Modestowa nie jest najdawniejsza. Jeszcze na długo przed nią, z czadu najgłębszego dzieciństwa, jak z oparów, wyławia Sabina zapach perkalowego kaftanika, korali, nasyconych ciałem, spracowanych rąk, bronzowych od słońca, zapach całej nianki, wielkiej i ciepłej... ach, znajoma szorstkość samodziałowej spódnicy. Kiedy w niezawodnem bezpieczeństwie jej fałdów, małe nogi radośnie tupotały po dwóch deskach dudniących, ruchomych, jak klawisze, wiodących przez błoto od dworu do kuchni, jak po czarodziejskiej drodze... Dwie deski wprowadzają w szczęśliwe mroczne ciepło, pachnące chlebem i machorką, ktoś przygrywa na organkach, jakieś wielkie ręce porywają Sabinę, unoszą w górę, w dół, w górę, w dół, wysoko - wysoko, aż pod sam zakopcony, czarny od much sufit, w zawrotną, łachotniwą, zanoszącą się od śmiechu radość:

Pryi-chały pany-czy
Hrycza-nyki nape-czy-y

Wielka noga w zrudziałym bucie z cholewą u kostki sfałdowaną równo, jak harmonja, przytupuje:

Hop, moi hrycza-nyki
Hop, moi myły-yy
Czohoż mi hrycza-nyki na cze-reni-[siły

* * *

— Co to znaczy „na czereni“? — zapytuje Sabina. Ale już na pokojach. Ale już kiedyś dużo później.

— To znaczy, że takie ciasto... opadło w piecu, jakby było z zakalcem...

— To czemu oni nie śpiewają tak?

— To czemu oni nie śpiewają jak?

— No tak, że ciasto opadło w piecu, jakby było z zakalcem?

— Ależ przecież oni śpiewają po chłopsku...

— Ach, prawda... — Sabina milknie zawstydzona. Dorośli się śmieją, że też dzieci nie wiedzą najprostszych rzeczy...

* * *

Znowu ten sam opar. Odsłania się. Bose stopy przyplaskują o ubite gliniane klepisko. Wielkie kolano galopuje coraz prędzej, coraz prędzej...

Jedzie, jedzie pan, pan
Na koniku sam, sam...

Łachocząca radość przyczaja się, przycupnięta w oczekiwaniu:

Jedzie, jedzie chłop, chłop
Na koniku hop, hop...

Jeszcze nie to, jeszcze nie to najlepsze, ale już zaraz, tuż-tuż...

Jedzie, jedzie Żyd, Żyd
Na koniku hyc, hyc...
A za Żydem Żydó-weczki
Pogu-biły paty-neczki...

Tuż zaraz. Przycupnięty śmiech zaczaja się, żeby już-już, na całego wybuchnąć:

Aj-waj-mir!

No, tak! Żadnej twarzy, nic wyraźnego! Tamten śmiech, różowy kaftanik, bosa stopa, wielki but, pachnące machorką duszne, szare ciepło „ludzkiej kuchni“ znowu zachodzi oparem, jak mgłą i tylko słychać jeszcze:

Hop, moi hrycza-nyki
Hop, moi my-łyyy

Jakby przyjechał i oddalał i przycichał kolorowy, zaczarowany korowód dzieciństwa. I to najśmieszniejsze:

Aj-waj-mir!...

* * *

— Oto, jakie mam najdawniejsze wspomnienie z mniejszości narodowych — dowcipnie myśli Sabina na łóżku, jakby opowiadała komuś, i uśmiecha się smutna — z „mniejszości narodowych...“

A teraz, dopiero teraz... Modestowa siedzi wielka, wspaniała za stołem w innej już, ciepłej, sennej kuchni, czarnej od much. Nadąsana, niechętna. Popija herbatę — od rana nic jeszcze nie miała w ustach. Bezczynna z rękami na ogromnym brzuchu, niechętnie patrzy, jak chuderlawy Ostap układa w wazonach ostatnie letnie kwiaty o zakrótko ściętych łodygach: georginje, astry...

— Panna pamięta, jak będzie kiedyś robiła bukiety: czerwone zawsze do środka, białe po bokach. Ot, jak!

(Do dziś dnia Sabina pamięta. Nie to, żeby tak właśnie robiła, ale pamiętać — pamięta. Ach, Ostapie, Ostapie, czyż można dłużej pamiętać!...).

...posępne, ostro niebieskie oczy Modestowej patrzą z dezaprobatą spod niskich, prostych brwi:

— Cóż to Ostap sobie myśli, czy to tak układają bukiety na pokojach? I czy to Sabińcia, jak wyrośnie duża, sama nie będzie wiedziała, jak ma układać, tylko będzie się musiała Ostapa radzić? Ot, powiedział, co wiedział!...

Sabinie żal się robi tak zgromionego Ostapa: podchodzi, przygląda się, dotyka bukietu, zbitego w kupę, jak kalafior...

Leniwie przesuwa się popołudnie. Muchy brzęczą, na wiecznie zamkniętych, niemytych kuchennych oknach, muchy się męczą w szklanej muchołapce, tonąc w zielonkawej serwatce, to znowu wyłażąc z niej na brzegi. Helena wpada z wrzaskiem, że słonecznik tuż przy płocie panny Malwiny ma już takie czarne ziarnka, „jak nie wiem co“... I zaraz wylatuje. Rozwalony w wiecznie otwartych drzwiach Bęben ledwie zdążył uderzyć kilka razy wyleniałym, a jednocześnie skołtunionym ogonem w spróchniałe schodki — i musiał odejść stamtąd na dobre, choć nie chciał, bo pejsaty woziwoda zaczyna właśnie przelewać wiadrami ciepłą, brudną, rzeczną wodę ze swej oślizgłej beczki na kołach do tej dudniącej czarnej, przy drzwiach... Koń woziwody, żydowski koń brudnobiały i jakby posypany hreczką, o wystających kłębach i drżących, zgiętych kolanach, usiłuje, jak zawsze, skubać niską, drobną trawę przed kuchnią i jakoś mu nie idzie. Ostap czyści teraz noże szmatką i tłuczoną cegłą, i opowiada, jak to było, kiedy służył w „preobrażeńskim pułku“, i nikt go nie słucha. „W preobrażeńskim pułku“ — wymawia, a Sabinie to imponuje, chociaż jest patrjotką i niecierpi Moskali...

Dziobata, zielonkawa gęba Rafała zagląda przez otwarte drzwi.

— Czego ty tu, synku, przyszedł — burczy Modestowa, ale wstaje, wzdychając, czegoś kręci się po kuchni, coś mu tam wtyka, i poszeptawszy za progiem, wraca na swoje miejsce. — Sabińcia nie powiada nikomu, że Rafał tu przychodził. Nie trza mówić!...

Ach, nie powie, nie powie, choćby ją nożem rżnęli... jest taka szczęśliwa, że Modestowa wogóle czegoś chce od niej... wczoraj „na pokojach“ znowu mówili przy obiedzie, że Rafał jest złodziej, a Modestowa uczciwa.

— A przytem znajdźcie mi drugą taką, coby umiała tak gotować — dodał stryj Konstanty — ot naprzykład choćby i taka zupa jak dziś... zdaje się: nic takiego a jednak... albo weźmy ten strudel...

Sabinie imponuje to, że o Rafale mówi się: złodziej. Sabini imponuje, że ma nie mówić o jeg przychodzeniu... Sabinie imponuje dużo rzeczy „na pokojach“ i wszystko w kuchni... szczęśliwa, tuli się do Modestowej. Ale zaraz zamiera ze zgrozy: słychać, jak woziwoda odjeżdża z przed domu, krzyczy na konia. Świszcze batem...

— Ot, jak wali — radośnie nasłuchuje Ostap.

— Onby i człowieka zakatował, a nietylko konia — posępnie mówi Modestowa.

Wszystko ucicha. Wchodzi Rózia. Przystrojona w kolorowe szmatki, papierki. Cicho siada koło okna. Kręcący się po kuchni Bęben ostatecznie decyduje się położyć przy nogach Modestowej. Bosa stopa dobrotliwie drapie go w sparszywiały kark.

— Ot tobie dobrze letnią porą, ale jak ty będziesz zimą, jak? Pani napędzi ciebie choćby i na mróz. A i w słonce też dobrze chłodno, co?

Żółte oczy, nalane przesadnem wzruszeniem wiedzą, że mówi się o nich, ale nie wiedzą, co. Rozkudłane cielsko rozwala się brzuchem do góry, nadstawia brudny brzuch pieszczocie gołej stopy.

— Ot, kiedy był młody, ładny, to mówili: z białym krawacikiem — bosa stopa czochra brudny biały trójkąt pod osiwiałym pyskiem — ot tobie i krawacik... Bębuś, Bębuś — przedrzeźnia Modestowa — a to na kanapę, a to na łóżko... A teraz poszoł won, że stary, że paskudny zrobił się, że pchły puszcza... A gdzież to ten „krawacik“, pytam się u jej...

Sabina żałośnie myśli, że „zimową porą“ będzie daleko, będzie w Warszawie na Hożej, i nie będzie komu Bębna bronić... Wszyscy milczą, tylko Rózia coś do siebie szepcze. Coś swojego, jakby nie słyszała, co tu mówią. Ostap patrzy na nią i puka się palcem w czoło. Sabina się wstydzi...

— Co tu się dziwić, że z psami tak robią, kiedy z ludźmi — ponuro ciągnie Modestowa — ot choćby i ta cała Rózia: troje dzieci wyniańczyła u tego Starynkiewicza, po nocach nie spała, ciągle na rękach nosiła, kiedy mieli koklusz, co to już wszyscy myśleli, że ta ich mała kończy się... toż te dzieci tak krzyczeli za nią, jak za matką, i ona przepadała za niemi... a teraz, kiedy już jej ze wszystkiem jest niedobrze, to poszła won na ulicę...

Znowu wszyscy milczą, tylko Rózia szepcze coś do siebie, jakby nie słyszała, że o niej mówią... rozdarta żałością Sabina nie wie, czy ma się brać do pocieszania jej, czy Bębna... Ale przecież Bęben dopiero w zimie będzie biedny, a Rózia już teraz... Więc włazi jej, jak zwykle na kolana, małemi brudnemi rękami zwraca ku sobie jej twarz o dalekich obcych już oczach...

— Róziu, Róziu, poco Rózia ponaczepiała sobie te papierki? Nie trzeba Róziu, ja lepiej pozdejmuję, Róziu, co? mogę zdjąć, Róziu? — proponuje nieśmiało...

I dopiero teraz Rózia jakby ją zobaczyła, jakby usłyszała: przestaje szeptać do siebie, zaczyna przyglądać się jej uważnie — uważnie, zaczyna wykrzywiać się dziwacznie...

Ale już Modestowa wstaje ze swego miejsca, wielka, czegoś niezadowolona. Prędko, prędko zdejmuje z kolan Rózi Sabinę, popycha ją ku drzwiom...

— Niechno panna idzie sobie stąd „na pokoje“, niechno Sabińcia idzie... A to cały dzień siedzieć w kuchni, czy co?!...

I Sabina zmartwiona wychodzi. W pełnej gratów słonce przystaje: nasłuchując: dolatuje ją cienki, kobiecy chichot Ostapa, gniewny, gruby głos Modestowej, a potem jakiś obcy, dziwny krzyk niewiadomo czyj, i zaraz milknie...

Sabina pędzi przez pokoje...

Felicja Lilpopówna

Przed wystawą kapistów

Dnia 23 marca otwarta zostanie w Instytucie Propagandy Sztuki zbiorowa wystawa kapistów, grupy, najbardziej dzisiaj atakującej i atakowanej. Historja tych ludzi, którzy po dziesięciu latach wspólnej pracy, od chwili powrotu do kraju w r. 1932, podjęli ciężką i niewygodną walkę o swoje idee, z których przesłankami można się nie zgadzać, ale których bezwzględnej ideowości i szczerej w tej walce postawy nie można nie uszanować — mało jest znana szerszemu ogółowi; warto ją więc w paru słowach zobrazować.

Spotkali się po raz pierwszy w Krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych. Przyjechali tu nietylko z różnych okolic Polski, ale i z różnych krajów: Jan Cybis z niemieckiego Górnego Śląska, po uprzednich studjach we Wrocławiu, Józef Czapski z Akademji w Petersburgu, Zygmunt Waliszewski z Tyflisu, gdzie przyjaźnił się z grupą rosyjskich futurystów, Tadeusz Potworowski z Poznańskiego, Seweryn Boraczek z Ukrainy, Józef Jarema z Małopolski Wchodniej, Stanisław Szczepański z Małopolski Zachodniej, Dorota Seydenmanowa i Janusz Strzałecki z Warszawy, Jacek Puget, Artur Nacht i Hanna Rudzka - Cybisowa z Krakowa.

Po powrocie prof. Pankiewicza zgrupowali się wszyscy w jego pracowni, gdzie studjowali kilka lat, aż wreszcie przyszedł moment, kiedy uświadomili sobie konieczność wyjazdu zagranicę, — gdzież bowiem, jak nie w Paryżu, prowadzić dalsze studja i poznawać europejskie malarstwo? Zawiązali wówczas grupę, złożoną z dwunastu członków pod nazwą „Komitet Paryski“, nad którą protektorat objął prof. Szyszko - Bohusz, a prezesurę piastował J. Czapski. Zakrzątnęli się energicznie około zebrania pieniędzy: urządzili loterję, na którą wszyscy artyści krakowscy ofiarowali chętnie swoje płótna, zorganizowali bale i przedstawienia teatralne. Zgromadzone w ten sposób fundusze miały wystarczyć na zapłacenie paszportów, biletów kolejowych, i na pierwszy miesiąc życia w Paryżu. O dalszą przyszłość nikt się nie kłopotał.

Wyjechali z Polski w lecie r. 1924. Wszyscy razem wynajęli niewielką pracownię w okolicach Porte d'Orléans, a mieszkali, jak się dało. Na modela nigdy oczywiście nie było pieniędzy, skoro często nie było pieniędzy na życie: z konieczności więc malowali same martwe natury, lub autoportrety, zresztą większość czasu spędzali początkowo w muzeach i galerjach, studjując dokładnie wielką sztukę francuską, a odnosząc się sceptycznie do t. zw. „Ecole de Paris“. Skoro minął pierwszy miesiąc sytuacja stała się tragiczną; wówczas to przyszedł z pomocą Antoni Potocki, który swoim entuzjastycznym artykułem p. t. „Zmiana warty“ zwrócił uwagę na kapistów. Obecny senator p. S. Laurysiewicz i p. Loewenstein dopomagali odtąd w opłacaniu pracowni.

Każdy z grupy starał się o zarobek, jak umiał: rysowali ogłoszenia do kina, mody do żurnali, pisali korespondencje do gazet, robili „stare“ parawany i modele okrętów, nawet grywali jako zespół orkiestrowy na dancingach.

Mimo namowy ze strony starszych kolegów, nie śpieszyli się z urządzeniem wystawy, wychodząc z założenia, że nie należy przedwcześnie ściągać na siebie uwagi. Po raz pierwszy dali się publicznie poznać dzięki konkursowi, zorganizowanemu dla malarzy polskich w Paryżu, staraniem Gustawa Zamoyskiego. Jury, w którego skład weszli malarze tej miary, co Rouault, Dafy i Friesz, wszystkie pięć nagród przyznało kapistom. Rezultatem tego sukcesu było zaproszenie całej grupy przez głównego marchanda francuskiego w Genewie do urządzenia tamże wystawy, która odbyła się z wiosną 31-go roku i przyniosła kapistom zasłużone powodzenie. W Paryżu wystawili po raz pierwszy w r. 30-ym, w Galerie Zak, zwracając uwagę krytyki, kolekcjonerów i marchandów.

Znacznie im przytem pomogły niestrudzone: pani Sert - Godebska (córka autora pomnika Mickiewicza i niezwykle wybitna osobistość na terenie Paryża, kobieta, którą malował Cézanne i Toulouse - Lautrec, która lansowała w Paryżu balety Djagilewa i Strawińskiego i t. d.) oraz pani Gertruda Stein, odkrywczyni Picassa i Matisse'a.

Wkrótce po Paryżu ujrzała ich Warszawa: jesienią 31-go roku w lokalu Polskiego Klubu Artystycznego (za prezesury prof. Karola Stryjeńskiego) wystawili około stu płócien, wywołując duże zainteresowanie, zwłaszcza wśród młodszych kolegów i niezwykle przychylne, a nawet entuzjastyczna krytyki. Już wówczas mówił Czapski, na wieczorze, urządzonym dla kapistów przez Klub Plastyków Warsz. Akademji, o zamiarze rychłego powrotu do Polski. Do kroku tego namawiał go usilnie Karol Stryjeński:

— Dalsze prace grupy powinny być kontynuowane już w kraju. Potrzebni tu są, więc niechże wracają!

Jakoteż niezadługo wrócili: Czapski urządził jeszcze w Paryżu własną wystawę w Galerie Vignon, na której, bez przesady, zgromadził się „cały Paryż“, a szereg płócien został zakupiony przez kolekcjonerów amerykańskich; Cybisowie, wróciwszy — już w r. 31-ym do Krakowa, rozpoczęli tam energiczną działalność, wszedłszy do komitetu redakcyjnego „Głosu Plastyków“, pisma, które odtąd uległo ogromnej przemianie. Wreszcie w r. 32-gim cała grupa znalazła się już w Polsce. W konkursie, rozpisanym na dekorację plafonów wawelskich. Waliszewski, Jarema i Cybis otrzymują nagrody i prace te zaczynają już wykonywać. Również Waliszewski, Potworowski, Cybis i Szczepański otrzymują nagrody na Salonach dorocznych w IPS.

Biorą czynny udział w życiu artystycznem Warszawy i Krakowa, współpracują przy urządzeniu wielkiej wystawy Pankiewicza (IPS wiosna 33 roku), Czapski wygłasza szereg odczytów, wywołujących żywy oddźwięk w prasie.

Kursuje o nich pogłoska, że są „zarozumiali“ i niedostępni: znając ich bliżej, wiem jednak, jak dalece zarzuty te są nieuzasadnione, wiem o ich rzetelnym do pracy stosunku, wiem, jak ciężko o ten swój wyraz plastyczny walczą. Na najbliższej wystawie pokażą około 150 płócien i szereg rzeźb (J. Pugeta). Zaczekajmy, co ta wystawa przyniesie: im zostawmy głos, niech mówią sami za siebie.

Eugenjusz Byrski

„Pstra krowa" przed wrotami abstrakcjonizmu

Otwarte konkursy artystyczne (malarskie, rzeźbiarskie, literackie, architektoniczne) są dotychczas, jak wiadomo, uznane za możliwie najlepszą formę wyróżniania talentów w danej dziedzinie. Człowiek współczesny styka się z niemi niemal na każdym kroku. Stanowią one bowiem nietylko sposób wydobycia na światło dnia prawdziwych wartości, nieobciążonych przywilejem — często balastem — nazwiska już znanego, ale są znakomitym środkiem propagandy, odbywającej publicznie wykład sprawdzianów i obowiązujących w danej chwili kryterjów określonej gałęzi sztuki. Dotyczy to w równej mierze konkursów ściśle artystycznych, jak np. literackich lub z zakresu plastyki, czy też nawet — toutes proportions gardées — sportowych: konnych lub łyżwiarskich.

(Problem bezbłędnego parcours na hippodromie nad kilkunastoma przeszkodami, którego elementarnym sprawdzianem jest zgrabne ominięcie poprzeczki i utrzymanie trasy, komplikuje się z chwilą uzyskania równych — w zasadzie — wyników przez szereg współzawodników. Z tą chwilą zagadnienie ustalenia faktu i stopnia wyższości jednego konkurenta nad drugim przenika lekko w sferę probierzy estetycznych: piękności biegu, t. zw. stylu i domaga się stosowania oceny ponadmaterjalnej).

Wartość propagandowa tego rodzaju emulacji dla danej techniki (i nietylko dla przykładowo wymienionej techniki jazdy konnej), jest niewątpliwa. Na czem ona polega? Na uzyskaniu, zgodnego z głosem komisji sędziów, wyroku publiczności, a więc zespołu laików, który to zespół tego rodzaju pokazy wychowują, urabiają w kierunku uzyskania oceny niezależnej, drogą przedewszystkiem porównań.

Jeżeli cytujemy tutaj znane czytelnikom te banalne prawdy, to dlatego, że trafne metody wychowawcze, tkwiące u podstaw tego rodzaju „szkoły" publicznej, nie przeniknęły jeszcze w niektóre sfery sztuki, lekce sobie, jak widać, ważącej analogję ze sposobami popularyzowania kunsztu „wyższej szkoły jazdy".

Niema konieczności zresztą uciekać się aż do tak drastycznych dla oka i ucha artystycznego porównań. Zorganizowany ostatnio konkurs na najpiękniejszy portret kobiecy, gromadzący w salach Zachęty licznych widzów, jest widomym znakiem możliwości propagandowych, zdolnych pozyskać sympatję szerokich kół dla zmagań mistrzów palety z wielce, jak się okazało, oporną i trudną techniką malowania portretu. Mógłby wprawdzie ktoś zrobić zarzut, że ogólny poziom wystawy i zainteresowanie publiczności, idące raczej w kierunku odnajdywania najpiękniejszego, czy też najbardziej pikantnego modelu, są złą propagandą.

Niewątpliwie, stowarzyszone w jednym zespole jury, kwalifikującego prace na wystawę, tak niezwykły nawet jak na nasze stosunki, brak smaku w połączeniu z przerostem kwalifikacyj czysto komercjalnych, sprawiają, że widz czuje się nieco zażenowany charakterem tych „gustownych" dzieł, zajmujących w wielu wypadkach dobrych parę metrów kwadratowych płótna. Na domiar złego samą ideję konkursową spaczono w zarodku przez byt już brukowy pomysł odwoływania się do opinji publiczności. Jeśli chodzi o cel pedagogiczny, wychowawczy tego rodzaju prymitywnej reklamy, — stanowi on posunięcie fatalne, w naszych warunkach nawet groźne dla ogólnego stanu kultury. Wiktor Podoski w sprawozdaniu z wystawy pisze słusznie: „Istnieje wiele powodów, dla których docenianie opinji publicznej i nawiązywanie z nią kontaktu uważam za wskazane, gdy się ma jednak do czynienia z rzeszą widzów, trzeba być pedagogiem. Ze wszystkich konkursów, jakie można sobie wyobrazić, właśnie ten (t. zn. przez głosowanie publiczności, p. a.) najmniej się nadaje do celów wychowawczych". (ABC. czwartek, 8 marca 1934 r.).

W rezultacie jednak masy kulturalne zostały poruszone, podatne do kontemplowania malarstwa, mimo wadliwie zaaplikowanej podniety, skłonne, być może, do przyjęcia racjonalnej krytyki. Tylko, że u nas nikt się nie kwapi oświecać ubogich duchem. Krytyka zdeklarowanie trzeźwa oświadcza krótko: kicze. „Prokesche" malarstwa deklamują konwencjonalne frazesy i w sprawozdaniach recytują twórców pokolei, nie opuszczając, broń Boże, nikogo.

Pozbawiony busoli krytycznej, mętnie, a często i fałszywie zorjentowany przez recenzenta, widz, o ile, oczywista, rozporządza choćby minimalną kulturą malarską, usiłuje obronić się odważnie przed suggestją wspaniałej toalety portretu Styki i wycisnąć z siebie jakąś opinję samodzielną. Bądźmy szczerzy, — nie udaje się mu to zazwyczaj.

Grzechy krytyki zawodowej, cokolwiekby tu się powiedziało na niekorzyść naszej t. zw. publiczności kulturalnej, są niewybaczalne. Obowiązki względem mas, sprowadzające się w pierwszym rzędzie do możliwie prawidłowej informacji, referowanej objektywnie i rzeczowo, w języku prostym, dostępnym i możliwie zrozumiałym, są gwałcone i negliżowane niemal z reguły. Teatr, kino, literatura, malarstwo, wszystkim tym dziedzinom zbywa niemal do cna na uczciwej służbie informacyjnej. To, co recenzentka dziennika stołecznego potrafi napisać, np., w sprawozdaniu z „Hamleta", halucynacje, ujęte w formę recenzji filmowej ze znanego obrazu, idącego na zeroekranie — nasuwają zgoła ponure myśli.

W rezultacie, nawet wówczas, gdy możliwości dydaktyczne i propagandowe konkursu artystycznego są rozleglejsze, niż w wypadku zwykłego koncertu, czy wystawy, w przeważnej większości wypadków publiczność zdana jest na własną opinję. Przedstawiciele krytyki oficjalnej rozgrywają najczęściej batalje personalne, korzystając z rzadkiej — dla nich — okazji wpięcia jeszcze jednej szpilki w przeciwnika. Wszakże zmarnowane i pominięte z lekkiem sercem okazje nie powtarzają się tak prędko

II.

„Nędza bogów, t. j. nędza ideałów odbić się musiała na sztuce i na jej tworach, pozostających bez miejsca i, pomimo hałasu wokół nich czynionego — bez publiczności.

Nietsche nazywa człowieka współczesnego „pstrą krową". Istotnie przeciętny Europejczyk wypasa się na wszelkich pastwiskach, byle karm była obfita. Dobry apetyt niema jednak nic wspólnego z dobrym smakiem, którego warunkiem jest wybór i ograniczenie. Dziś mało kto wybiera, albowiem nie wie, kim jest i czego żąda, żąda więc wszystkiego".

„Czy współczesny Europejczyk ma wogóle czas napawać się, podziwiać, zastanawiać, czy może być abstrakcjonistą?". (Dr. A. Lauterbach, „Pierścień sztuki".).

Pozostawienie publiczności samopas, conajwyżej poszturkiwanie jej dowcipem recenzenckim, jak to u nas się zdarza w dziedzinie teatralnej, ze sprawą pedagogiki kulturalnej nie ma, rzecz jasna, nic wspólnego. Żyjemy w warunkach trudnych, trudnych nietylko materjalnie, to prawda. Czy jednakże brak odpowiedniej podniety, reklamy trzeźwej i umiejętnej, nie jest przyczyną, że muzea świecą pustkami, a wartościowa książka nie znajduje konsumenta?

Próżno biadać nad upadkiem kultury, skoro się palcem nie rusza, aby wychować sobie jej odbiorcę. Wystawa drzeworytów, zorganizowana przez IPS, cieszyła się dużem i zasłużonem powodzeniem, dzięki trafnej reklamie. Stowarzyszenie filmu artystycznego „Start" urządza co pewien czas pokazy, na których w sposób przejrzysty podawane są publiczności przykłady harmonijnie skomponowanego tworzywa sztuki filmowej, opatrywane doraźnym komentarzem. Znaczenie tego rodzaju imprez, na których publiczność kształci się i wychowuje — jest kolosalna. Oceni je każdy, kto znajdzie się w tłumie, nie powodowanym snobizmem, ani żadnemi względami materjalnemi, jednem słowem, wśród tych, którzy szukają podniety estetycznej.

Trudną rzeczą, oczywiście, jest wdrożyć z miejsca podziw dla jakiejś, choćby wysoce wartościowej, rewelacji; ale też trudno oszukać. Niewdzięczna, być może, jest rola nauczyciela: aleć przecie niesposób, nieznając elementarza, samemu nauczyć się czytać. Jeśli okazałoby się, że przed przeciętnym Europejczykiem istotnie są obecnie zamknięte wrota abstrakcjonizmu, niemałą winę za taki stan rzeczy ponieśliby ci, którzy z tytułu swoich stanowisk i wiedzy, obowiązani są starać się otworzyć je przed nim naścieżaj, ukazać mu widniejącą za niemi jedyną drogę, wiodącą od barbarji do przedsionka wyższej kultury — drogę nowych, nieznanych mu dotąd możliwości przeżycia artystycznego.

III.

Jednym z najlepszych regulaminów konkursowych jest, jak wiadomo, regulamin konkursów architektonicznych, opracowany i patronowany przez Związek Stowarzyszeń Architektów. Szczegółowe przepisy, normujące tok i procedurę postępowania opinjodawczego, ujednostajnienie warunków, zapewniających możliwie bezstronną i prawidłową ocenę jury, osoby sędziów, powoływane wyborem walnych zjazdów, — wszystko to sprawia, że architekt, wysyłając swe prace na konkurs, jest — zgruba przynajmniej — zorjentowany w szansach dojścia do eliminacji.

Charakterystycznym momentem procedury jest obowiązek, ciążący na sądzie, urządzenia wystawy publicznej projektów, po przyznaniu wyróżnień i nagród, a przed otwarciem kopert z nazwiskami, — w celu dania możności reklamowania skarg na niewłaściwą klasyfikację. Chodzi tu o możność niedopuszczenia do wyróżnień prac, posiadających ukryte braki formalne, niezgodnych z warunkami rzeczowemi, zawartemi w treści konkursu, a niedostrzeżonemi, lub zlekceważonemi przez jury. Reklamować można bezimiennie.

Musimy tu nadmienić, że widz ma możność zapoznania się na tej wystawie z opinją sądu, uzasadniającą przyznanie takiej, a nie innej nagrody, lub też z wyłuszczonych powodów odrzucającą pracę. Wszystko to rzecz oczywista, nie daje absolutnej pewności sprawiedliwego ferowania opinji, zwłaszcza w niektórych konkursach urbanistycznych, przedstawiających dość zawiłe sploty zagadnień technicznych z jednej, artystycznych z drugiej strony, których całość trudno jest sędziom ująć w lapidarnym skrócie, załączonym do protokułu.

Wszelako zainteresowanemu widzowi drogą elementarnego porównania nie trudno jest dociec zdecydowanej przyczyny — o ile taka istnieje — przewagi jednego projektu nad drugim.

Przy tego rodzaju procedurze możnaby z takiej wystawy uczynić niebylejakie dzieło propagandy architektury wśród wykształconej publiczności. Jest rzeczą jasną, że pomiędzy wystawą projektodawców urbanistycznych, a wystawą główek w „Zachęcie" zachodzi pewna różnica. Plan domu jest trudniejszy do odczytania dla przeciętnego śmiertelnika, niż ocena sekretów urody kobiecej pani V. B., przenikającej wzorzysty, ale przezroczy welon portretu Rudnickiego.

Umiejętności klasyfikowania, jeśli chodzi o temat — w jednym z tych wypadków nabiera się nie jako „samoistnie", gdy czytania planów architektonicznych trzeba się nauczyć drogą pewnych rozważań teoretycznych. Jest to jednak rozbieżność tylko pozorna, narzucona nam tu przez niewłaściwe ujęcie konkursu malarskiego Zachęty, o którym mówiliśmy wyżej.

Widzowi wykształconemu nietrudno zrozumieć, że może istnieć zły portret pięknej kobiety, jak i piękny — brzydkiej. Odcyfrowanie sekretu znaków graficznych w projekcie architektonicznym poprzedza zdobycie w duszy widza pewnej określonej wizji, której projekt ów jest rysunkowem odwzorowaniem, rzutem graficznym, po czem dopiero nastąpić może krytyczne ustosunkowanie się do tematu. I w jednym i drugim wypadku patrzący musi dojść naprzód do umiejętności czytania, która jest sui generis „progiem" świadomości artystycznej.

Mimo to, oczywiście, można być **zdolnym do kontemplowania architektury (żywej), nie umiejąc czytać planów.** Człowiek kulturalny, pozbawiony wszakże możności nabycia elementów tej wiedzy wskutek braku odpowiedniej propagandy, traci klucz do wielu istotnych problemów współczesności, nierzadko zmuszony stanąć poza nawiasem rozgrywki, tam, gdzie chodzi o sprawy często mu bliskie, najbardziej żywotne.

W roku zeszłym w popularnym miesięczniku architektonicznym czytaliśmy głosy racjonalnej krytyki takiego stanu rzeczy:

„Konkursy publiczne są dobrą i rzadką okazją do propagandy zawodu architektonicznego wśród społeczeństwa..."

„Należy przeto specjalną uwagę zwracać na odpowiednie zorganizowanie wystawy konkursowej. Dotychczasowy stan wykazuje znaczne braki. Niejednokrotnie brak jest w prasie nietylko recenzyj i artykułów, lecz nawet wzmianek o otwarciu wystawy. Niekiedy wzmianki takie ukazują się po czasie, a mianowicie po zamknięciu wystawy, tak, że nietylko szersza publiczność, lecz nawet architekci nie mają możności obejrzenia tych wystaw"...

„Oby też stowarzyszenia architektoniczne zdobyły się na utworzenie swego nietyle P. A. T. ile P. A. A. (Prasowej Agencji Architektonicznej) i oby do propagandy architektury udało się skaptować pióra, naprzykład, Adolfa Nowaczyńskiego, Zygmunta Nowakowskiego, Boya lub Sęka..." (L. Tomaszewski. Otwarte konkursy architektoniczne i urbanistyczne, „Architektura i budownictwo", Warszawa, nr. 5, 1933, str. 151).

W grudniu tego samego roku sygnalizowaliśmy w „ABC" literacko - artystycznem" bliskość terminu rozstrzygnięcia konkursu na domy wielopiętrowe, organizowanego przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Wystawa projektów była dostępna dla publiczności w... ciągu trzech dni. Wzmianki, drukowane petitem, w złych miejscach dzienników, po czasie, trudno uważać za prawidłową informację. Mamy zatem powody sądzić, że istniały ważkie powody, dla których tak tajemniczo zakonspirowano plon konkursu przed okiem ciekawych w uczęszczanym, wprawdzie w innych celach, gmachu przy zbiegu Nowego Świata i al. Jerozolimskich.

Przedwcześnie architektura zwraca się o pomoc propagandową do piór Nowakowskiego czy Nowaczyńskiego. Naprzód sami architekci muszą „oczyścić teren" ze zbędnych oparów ezoteryzmu (w pewnym zakresie architektura, rzecz jasna, musi pozostać ezoteryczną), zbliżyć pracę projektodawczą architekta do publiczności, zainteresować nią kulturalnego widza i czytelnika.

Wówczas literatura i publicystyka współczesna sama odnajdzie ów „ton, co tętnem jest stuleci". Przerwana pieśń o architekturze, na tylu kartach powieści śpiewana niezapomnianem słowem Stefana Żeromskiego, podjęta będzie znów, dziś lub jutro. Taka jest wiara tych, dla których idea „Szklanych domów", zrodzona z natchnienia poety, jest czemś więcej, niż czczym mitem, lub poetycką legendą.

K. M. Morawski

Betleem mazowieckie

(Bunikiewicz Witołd: „Wesoła nowina. Misterjum Bożego Narodzenia w sześciu obrazach" Wydawnictwo „Dobra Prasa", Warszawa, Nowy Świat 39).

„Betleem polskie" ma już piękną kartę swoją w naszej historji literatury. Lat temu będzie blisko trzydzieści, w przeddzień niemal, w wigilję „wielkiej wojny", wyczarowywał z desek teatru krakowskiego poeta katolicki, lirnik małopolski, Lucjan Rydel, epopeję „wiary" rycerskiej, nadziei powstańczych i miłości patrjotycznej — na tle Wawelu, wieży Marjackiej i szopki z Sukiennic.

A kilka lat wprzódy, rówieśnik jego, Stanisław Wyspiański, inny poeta głęboko katolicki, Calderon Północy, przesycił nastrojem jasełkowym, blaskiem z Betleem, jeden z finałów swojego „Wyzwolenia".

Na długo zaś przed nimi dwoma, trzech dawniejszych twórców romantycznego pomazania: prekursor wzlotów religijnych naszych wieszczów, Karpiński, a dalej samiż Mickiewicz i Słowacki dali nam: pierwszy — liryczną transpozycję kolendową poloneza koronacyjnego naszych królów, ostatni — pełną sarmackiej swojskości kolendę ze „Złotej Czaszki", Mickiewicz zaś — chronologicznie tylko z nocą wigilijną związane posiedzenie w celi Konrada.

* * *

W lat bezmała trzydzieści po owem Rydlowem „Betleem polskiem" (czy raczej małopolskiem) wyśpiewał nam inny szczery poeta, wtóry zaś lirnik mazowiecki, ale zarazem „kombatant wielkiej wojny", w świetnem regionalnem swojem „florilegium" („Rapsod mazowiecki", Poznań, Wegner) kolendę, która — po dalszych kilku latach — rozrosła się i udramatyzowała w misterjum.

Opiewa w niem Bunikiewicz mazowszan swoich, idących na odsiecz zagrożonemu na Golgocie Chrystusowi, idących zaś poprzez próby i zasadzki, poprzez gąszcze i ostępy:

„Jezus zrodżon w Betleemie, — woła
[jeden z tych mazurów
Otoczony wkrąg wrogami,
Biedę cierpi, w stajni drzemie
Między końmi i wołami.
Na ratunek, mazowszanie.
Chrystus skonać w nędzy może,
Przygotujcie panowanie
Jezusowi w jakim dworze!"

Ale w tej ciżbie, co wędruje ku Betleemowi i Jerozolimie, dużo jest powołanych, a mało wybranych. I tak niełatwo dotrze do stajenki dumny król Kasper, co „zamiast wędrować pokornie, w koronie jedzie i dwornie", ani rozpieszczony w egotyźmie i hedoniźmie król Melchjor, a za to czarny, jak heban, ale z jasną duszą, król Baltazar.

Idą więc naprzód pielgrzymi, Tannhäusery te polskie, wskroś przełęczy tatrzańskich na południe. A szatan coraz to nowe przeszkody ciska im na drogę. Raz, smok ten djabelski, przybierze na siebie postać Mośka - pachciarza (niedość zresztą konsekwentnie, zdaniem naszem, przez autora narysowanego), to znowu rozmnoży się pomiotem zbójnickim, nęcącym młode Płoczanki niczem kwiaty żywe Parsifala i porywającym za sobą gromadę pielgrzymią w tan chocholi. Jeden tylko Baltazar pozostaje przytomny i świadomy złud i omanów djabelskich.

„Świat ten przyciąga i rozprasza, —
[mówi do towarzyszy ostrzegawczo,
Choć wiecie, kędy droga wasza,
Pędzicie wprost, na oślep, w zgubę
Mamią uciechy, zmysły grube
I cel najświętszy mgła zaściela,
Nie odnajdziecie Zbawiciela!"

W drodze zaostrzają się w dodatku przeciwieństwa regjonalne (Małopolanie wadzą się tak z Kongresowiakami); na zaś ich sarmackie, słowiańskie, męskie i kobiece te słabości czyha Herod, przemożny satrapa - okupant, wabiący ich na manowce, do spółki ze swoim żydowskim bankierem, który tak przemawia do jednego z chłopów:

„O, gospodarzu, co robicie?
Chodzi o wasze drogie życie.
Przed potężnymi człowiek gnie się,
Zaróbcie na tym interesie".

I tak ciasną ścieżką kroczą dalej wspólnie Mazurzy nasi i Górale i, pod wodzą Baltazara, posuwają się szlakiem ciernistym ku krainie,

„Gdzie niebo nigdy się nie chmurzy
I niema zdrady, niema złości,
Wszystko spojone wkrąg miłości
Pachnie kadzidłem i kwiatami...,
Gdzie cennem złotem ich zapłacą,
Którego nie tkną już złodzieje,
A wieczna dobroć ich ogrzeje".

Ale nim się to stanie, czeka „wiarę" mazurską ostatnie i najcięższe drogi krzyżowej widome przeżycie:

Gurda:
Chodźcież, o chodźcież, pątnicy,
Pan nasz przed sądem Piłata
Krwawym się potem okrywa

. . . .

Chrystus pod krzyżem upada
Krwią święta głowa ocieka

. . . .

Chrystus u stóp już Golgoty,
Wstawajcie prędzej, pielgrzymi.
Korowód sunie olbrzymi...".

Gdy się wszakże rozegrać ma właściwy dramat Golgoty, gromadą zdążającą na odsiecz owłada na nowo gruby sen zmysłów. Jaśki i Jagi kręcą się w zaczarowanem kole domowych trosk i pożądań, i napróżno budzi ich z omanu tego rapsod - lirnik:

„O, Mościewy — w słońca złocie
Trzy krzyże widzę na Golgocie,
Gwoździami mu zadają rany,
Hej! do berdysza, Mazowszany!
Naprzełaj, biegiem do odsieczy,
Jeszcze się Jezus z ran wyleczy".

Takim akordem, jakby z Krasińskiego „Legendy", kończy się nowy ten „rapsod mazowiecki".

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

ADAMIECKI: Gospodarcze znaczenie bezpieczeństwa pracy. 8°. Str. 32. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1

ARCT M.: Słownik wyrazów obcych 33.000 wyrazów, wyrażeń i przysłów cudzoziemskich. Wyd. 12 uzupełnione. Pochodzenie wyrazów i wyjaśnienia wstępne opracował prof. H. Ułaszyn. 8°. Str. XII, plus 402. Warszawa, 1934. M. Arct. Zł. 12.

AUGUSTYN św.: Państwo Boże. II ks. VIII — XIV. Tłum. ks. W. Kubicki. 8°. Str. 402. Poznań, 1934. J. Jachowski. Zł. 16.

BAL A. inż.: Gospodarka mleczna. Mleko i jego produkcja, sprzedaż i użytkowanie z 34 rys. 8°. Str. 79. Warszawa, 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 2.

BOJKO A.: Ustawa o czasie pracy w przemyśle i handlu. Tekst ustawy obowiązujący od 1 I. 1934. 16°. Str. 84. Warszawa, 1934. Księgarnia Prawnicza. Zł. 1.50.

BOJKO A.: Ustawa o urlopach dla pracowników zatrudnionych w przemyśle i handlu. 16°. Str. 56. Warszawa, 1934. Księgarnia Prawnicza. Zł. 1.20.

BRONIKOWSKI W.: Drogi postępu chłopa polskiego. Z przedmową prof. W. Grabskiego. 8°. Str. XV, plus 384. Warszawa, 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 6.

BRZÓSKO ST.: Jak założyć i prowadzić pasiekę. Z 9 rys. 8°. Str. 47. Warszawa, 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 0.90.

ERECIŃSKI T.: Prawo przemysłowe m. Poznania w XVIII. 8°. Str. 853. Poznań 1934. J. Jachowski. Zł. 25.

JERICH Józef dr.: Kapitał akcyjny. 8°. Str. 80. Warszawa, 1934. F. Hösick. Zł. 5.

MORAWSKI M. ks. dr. prof.: Monografja Włocławka (Włocławia) z 38 ilustr. 8°. Str. XIV, plus 439. Włocławek, 1933. Księgarnia Powszechna. Zł. 10.

NEHRING E.: Zasady łyżwiarstwa z 49 rys. 8° str. 138. Warszawa, 1934. Główna Księgarnia Wojskowa. Zł. 2.80.

NOWICKI Wł. inż.: Bilans ziemiopłodów w gospodarstwach włościańskich w latach 1926-7, 1927-8 i 1928-9. 8° str. XV, plus 186, 66. Warszawa, 1934. Księg. Roln. Zł. 4.50.

OSSENDOWSKI F. A.: Afryka. Kraje i ludzie. 8° str. 69. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.

Adolf Nowaczyński

Cykownicy

Był niedawno w Moszkopolis (stolica Judosławji) literat sowiecki, Borys Ławrenjew, sądząc z podobizn w pismach, nie taki znów najtypowszy Wielkorus czy Małorus, raczej Europejczyk, czy nawet może co się zowie... Paneuropejczyk. I miał odczyt taki do członków i członkiń Pechclubu o warunkach pracy literackiej, o organizacjach zawodowych, o sytuacji materjalnej pisarzy sowieckich, o honorarjach..., przyczem dopiero całe audytorjum ocknęło się i zaczęło łapczywie wchłaniać „wieści znikąd". A więc, że odkudy „Rappa" zlikwidowano, kompletna wolność i raj na ziemi. Szczegółów o „Rappie" nie mówił. i nazwisk dwóch dzielnych jewrejów, którzy przez kilka lat teroryzowali całą literaturę, odbiegającą na dwa kroki od linij generalnych, nie wymienił; wymienimy za niego: Litwakow i Awerbach, dwa sadysty czrezwyczajne, których pamięć jeszcze dziś przeklinają tam wszyscy piszący. Z zarobkami literackiemi jest pono wcale wcale. Minimalny roczny dochód od 9 do 12-tu tysięcy rubli (no, to jak na taką ekspansję językową: licho i nędznie. P. A.). Ale za to są „twórcze urlopy" (nie zawsze do Europy...), stała pomoc lekarska, pięć domów odpoczynkowych (kasarń higjenicznych) i różne inne beneficia. Dzięki temu olbrzymi rozkwit i rozgłos światowy literatury (już się skończył). I wszyscy są zadowoleni i szczęśliwi (w momencie, kiedy im z Eurazji wolno jechać do Buržu-Azji).

W każdym razie Borys Ławrenjew opowiadał cuda, cudeńka o warunkach literackiej pracy w Sowietach, a z niejednej kosmatej piersi Penclubmanów wydobywało się głębokie westchnienie i tęsknota do Ziemi Chanaan. Nikt zaś nie pozwolił sobie zwrócić uwagi Borysa Ławrenjewa, że h a u s s a na literaturę bolszewicką w całej Europie z przyległościami amerykańskiemi jednak już minęła, że przy powieściach stamtąd już się ziewa, nowych się nie tłumaczy, wszystkie sowieckie sztuki teatralne pokolei padały i padły, a nawet z filmami, powiedzmy szczerze, dawniej imponującemi, olśniewającemi, jakoś się skończyło. Widoczne więc, że ten sowiecki system tresury, uniformu, niwelacji, wspólnych domów odpoczynkowych (horrendum!) na dłuższą metę praktykowany, wielkich rezultatów nie przynosi. Serwilizm odbija się ujemnie. W czerwonej liberji wolnym ludziom nie do twarzy.

A jak jest teraz u nas?

Czy jest serwilizm, liberja „g l e i c h s c h a l t u n g", masowa hodowla, wysługiwanie się? Czy też jest jaka taka wolność i swoboda? możność rozkwitania nie-subordynowanych indywidualności i jakie takie (związane z małym rynkiem zbytu) zarobkowe warunki skromnej bodaj egzystencji?

Otóż najgorzej nie jest, na razie nie jest, gdyż dopiero będzie. Na razie jest tylko dopiero bardzo źle i właściwie coraz beznadziejniej. Ze samej literatury czystej nikt jako żywo żyćby i egzystować nie mógł. „Gosizdatu" czy jak mu tam rządowego jeszcze nie mamy, a wielkich firm wydawniczych już nie mamy. Talenty radzą sobie tedy jak mogą i jak im starsi, doświadczeni (wygi) doradzą. U l t i m u m r e f u g i u m jest rząd i jego fundusze ministerjalno - departamento-wo-dyspozycyjne. Dzięki łaskawości rządowej powstają „Towarzystwo Skrzewienia Kultury Teatralnej", Akademja, tygodnik, nagrody, subwencje i t. p. Debiutanci literaccy, pragnący ratować swoje iskry Boże, muszą wcześniej czy później n o l e n s v o l e n s stawać się stypendystami rządowymi. I wtedy po krótkim oporze wewnętrznym i próbach tak zwanego buntu ducha, po roku lub po dwóch latach zostają albo t. z. poputczykami regimu istniejącego albo t. z. cykownikami Sanacji czy Dyktatury jak tam kto woli.

Co znaczy: cykownik, to swego czasu objaśniła sama „Gazeta Polska":

„Cykownik jest to specjalna osoba na weselach żydowskich, której zadaniem i obowiązkiem jest chwalić wszystko, co widzi, słyszy lub co się znajduje w domu, gdzie odbywa się uczta weselna. Ponieważ taki gość zwykle nie rozporządza zbyt wielką elokwencją, więc brakujące słowa zastępuje nieartykułowanemi dźwiękami, mającemi wyrażać zachwyt".

Modelem i wzorem takiego cykownika, wedle którego winni się urabiać, wykształcać i przekształcać młodzi debiutanci, chcący w szybszem, niż normalne tempo, zrobić t. z. „błyszczące karjery" jest były powieściopisarz o wzorowo rozdętej legendzie biograficznej, Wacław Sieroszewski, prezes Akademji, któremu „Pan Bóg pobłogosławił", jakoże się dobrze prowadził. Antypodą Cykownika i modelem tego, jak nie należy się „urządzać w życiu" jest znowuż powieściopisarz, Andrzej Strug, z którego młodzież utalentowana pod żadnym pozorem przykładu brać nie powinna!

Inny znów wzór Cykownika przedstawia n. p. jeden z największych myślicieli i odnowicieli filozoficznej tresury jeżeli już nie w Europie, to w Polsce, a w każdym razie w Małopolsce (Zachodniej), prof. Leon Chwistek. W swojem magistralnem dziele („Zagadnienia Kultury Duchowej w Polsce") (sic!) na stronie 133 (i podobnej) w taki sposób przechodzi od biegunki metafizyczno-frazeologicznej do konsekwentnego cykownictwa p. Chwistek:

„Polacy szlachetni są zwykle dobroduszni, trwożliwi, i łatwowierni, toteż biorą się łatwo na lep rzymskiej pozy i etycznego frazesu karjerowiczów. Trzeba nieraz długiego czasu, żeby kłamstwo wyszło na wierzch jak oliwa. Ale mam wrażenie, że pod tym względem jest z dnia na dzień lepiej. Świeży powiew, idący z sfer rządzących, robi swoje. Warchoły i tumany mają coraz mniej do gadania..

Wizjonerami byli niejednokrotnie wielcy wodzowie i wielcy organizatorzy społeczeństw, począwszy od Mojżesza i Jozuego, a skończywszy na Napoleonie i Piłsudskim".

Kobiety piszące winne brać sobie wzór, jak do grodu sławy można dostać się nieuciążliwemi schodami, lecz szybką windą, z młodej a utalentowanej poetki, Ewy Szelburg (Zarembiny). Tej to Safonie sanacyjnej dość szybko udało się przejść ze skrajnego prokomunizmu (reportaż z kobryńskiej rozprawy) do normalnej subordynacji, nic a nic nie mającej wspólnego z serwilizmem i dworactwem. Już bowiem w wierszozbiorku na Święto Niepodległości (11 listopada 1933), wydanym przez p. Korupczyńską (Korupczyńską i Roguską) czytamy taki oto prześliczny wierszyk, który powinien autorce szybko otworzyć wrota ...nieśmiertelności...

„W stolicy, w Warszawie
Śliczny Zamek stoi.
Podwoje otwarte,
warta u podwoi.
Na tym ślicznym Zamku
w dawnych, dawnych latach
mieszkali królowie
w purpurowych szatach.
— — — — — — —
Przeminęły lata...
I na Zamku zmiany:
zamiast królów mieszka
Prezydent kochany.
Nie nosi korony,
jak pradawni króle,
i nie chowa skarbów
w złocistej szkatule.
Jak zwyczajny człowiek,
niedumny ni trocha,
a każdy, kto Polak,
serdecznie Go kocha.

Już choćby za taką perełkę (może i przez panią Korupczyńską zainspirowaną) zasłużyło to dziewczę (Urszulkę z Czarnolasu przypominające) na lepszą dolę lub choćby tylko rządowy wikt i opierunek.

Inni piszący znowuż w inny sposób, nawet i nie podchlebiając obecnemu regimowi, jednak starają się gdzie mogą zaznaczać swoją z rządem solidarność, oraz posłuszeństwo dozgonne. Na ten przykład przez delikatne, ale wymowne przemilczanie i sabotowanie ...innych.

Aby nie drażnić i nie irytować Zwierzchności (Wierchuszki) autorów zbyt swobodnych czy swywolnych nie wliczają np. do takich, którzy zostają uwiecznieni na... pocztówkach. Szlachetny Pomper, Pomerański, czy też Pomirowski w ten sposób bolesny karci cały szereg autorów, którzy Żydów nie noszą ani pod sercem, ani na plecach. Niema tedy różnych takich pisatieli na kartkach pocztowych ergo wizerunki ich nie przejdą do potomności. Równocześnie tenże sam wielomówny i mnogosłowny z imienia Leo czy Leon w omal 400-stronicowej „Nowej Literaturze w Nowej Polsce" nie dostrzega, a więc i nie zamieszcza całego szeregu pisarzy, którzy są dlań poprostu jakby „świnie", šwininą a więc trefne, a więc zakazane już przez Mojżesza i Arona. O niektórych z tych skazańców Pompera szeroko rozpisuje się w swej sowieckiej „Polskiej Literaturze" Stein-Kamieński! W antologji poetów polskich (Utjosy) zamieszcza i tych niepoetów Małorus D. Bochun. W grubej „Weltgeschichte des Theathers" (800 stron) autor prof. Józef Gregory w 30 wierszach, poświęconych teatrowi polskiemu, jednak nie zapomina o żadnym z kilku najważniejszych.

O niejakim Nowaczyńskim dłuższy szkic t e m p o r e b e l l i napisał... zmarły A. Łunaczarski, podczas gdy jeden z takich pionowych, co wzlatują nad poziomy... dając resumé z ostatnich 15-tu lat Dramatu Polskiego (w zafundowanym przez rząd pisemku) pominął niepoczciwie dramatystów, których sztuki nie tylko wystawiał, ale przed którymi giął się w lansadach i komplementami zasypywał i schodami odprowadzał i omal drzwi od karety nie otwierał, li tylko spowodu karety braku...

Serwilizmu te i owe przeoczenia czy przemilczenia, oczywiście, jeszcze nie dowodzą żadnego, lecz tylko i wyłącznie amnezji czyli czasowego osłabienia pamięci. Po prostu pewni autorzy wypadli z głowy pewnym panom... nie pisali tak jak homo Chwistek czy Ewa Szelburg, a może nawet wprost przeciwnie, więc niech sobie przypiszą konsekwencje! Apage!

„Nie słuchałeś cierpże teraz!!" Nie uznajesz Sanacji za Patronkę, nie wierzysz w dogmat „I n f a l l i b i l i t a t i s" (nieomylności), no to jazda gazda!! won z Teatru, z Literatury, z kartek korespondencyjnych! z nieśmiertelności! Paszoł!...

Czy te takie tedy Poputczyki, czyli Cykowniki dostaną za to jakie choćby ordynarniejsze ordery, to niewiadomo. W każdym jednak razie zasłużyły choćby na jaki taki awans czy dodatek do poborów lub choćby zwolnienie z podatków... Jeszcze raz zaznaczamy z pedałem (z naciskiem), że nie uważamy ich postępowania i metod za żaden serwilizm broń Boże, ani też za podchlebne wysługiwanie się reżymowi, ani chęć zaskarbienia sobie sfor czy sfer miarodajnych. Traktowanie tego, jako klinicznych, szpitalnych dowodów i dokumentów niewolnictwa, rabstwa, oportunizmu i karjerowiczostwa jest to już zbyt chyba łatwe i symplistyczne upraszczanie sobie całego zagadnienia. Ot poprostu, czyj chleb jedzą (z ręki jedzą), o tem wiedzą i to jest ich wiedzą o życiu, sztuką życia... Nie są zaś znowuż tymi zapamiętałymi kretynami, którzy wierzyliby, że mogą „zaszkodzić" czy dobić v i r i b u s u n i t i s tego przedewszystkiem, c którego im „chodzi". To bowiem raczej tylko go rozbawia i podnieca do dalszej akcji i nowych kampanij. Nawet przemilczając... wrzeszczą i chcą „zakidać" czapami... I w tej naiwności są sympatyczni, bo i dziecinni nieco. Niech Im się wiedzie! Niech Im się szczęści! A w razie czego t. z. „Jasna Cholera" żeby Ich tylko także nie przeoczyła...

Alfred Jesionowski

Artysta-typograf: Jan Kuglin

W poznańskim ruchu wydawniczym (Św. Wojciech — Wegner — Dippel — Drukarnia Uniwersytecka — Drukarnia Mieszczańska — Drukarnia Rolnicza — Ostoja) zajmuje Jan Kuglin, dyrektor Drukarni Rolniczej, stanowisko zupełnie wyjątkowe i odrębne — a zajmuje je dlatego, że jego działalność wydawnicza podyktowana jest niemal wyłącznie względami artystycznemi, że zbliża się do mecenasostwa w starem tego słowa znaczeniu.

Kuglin-wydawca, Kuglin-typograf jest przedewszystkiem artystą — idącym w ślady starych mistrzów w dziedzinie wydawniczej: Łazarza, Grölla, Hallera, Wietora, Siebeneychera, Piotrkowczyka, Wyspiańskiego i im podobnych. Jest artystą, który piękną i głęboką treść ubrać pragnie w szatę odpowiadającą tej treści, w szatę wytworną, pełną smaku, o charakterze indywidualnym. Tworzy więc książkę bibljofilską, nie dla zbieracza-snoba, ale czytelnika-miłośnika książki. Z tego założenia wychodząc, stworzył słynną już dziś „Bibljotekę Studwudziestu", w której odbić się miała polska kultura współczesna, związana przedewszystkiem z jednem jej ogniskiem: Poznaniem.

Ogólne załamanie gospodarcze zahamowało nieco tę piękną inicjatywę. W pierwszym roku wychodzenia „Bibljoteki Studwudziestu" pojawiał się regularnie co miesiąc tom na czerpanym papierze krajowego pochodzenia, tom zewnętrznie podobny jeden do drugiego, a każdy o własnem obliczu wewnętrznem nietylko w treści i formie literackiej, ale i graficznej. Właśnie pod względem graficznym każdy nowy tom nową był niespodzianką. Liczbę każdego tomu ograniczył wydawca do 120 egzemplarzy, usunął paginację, wkładając w każdy tom maksimum artyzmu. Jak bardzo nowe wydawnictwo miłośnikom pięknej i dobrej książki przypadło do gustu, tego dowodem, że niektóre tomiki rozeszły się niemal tuż po ukazaniu się. Nic dziwnego: bibljofila nęcił nietylko autor, obiecujący tytuł, spodziewana treść — ale w równej mierze rozmaitość pomysłów typografa i wydawcy.

Jeden tom miał portret, wykonany nową techniką fultografji („Głośniki Płonące"), inny drukowany był antykwą Jeżyńskiego („Gawęda poety z typografem"), znów inne ilustrowane były nieużywaną w Polsce techniką fototypji („Żywy Dziennik"—„Leon Wyczółkowski"), to znów niespodziankę stanowiła rozmaitość papieru, na którym drukowany był tekst lub reprodukowane były ilustracje. Jeden tom ozdobiony był rysunkami, drugi drzeworytami, trzeci akwafortami — każdy tom miał coś, czego nie miał inny. I ta ogromna różnorodność w wyposażeniu słowa drukowanego sprawia, że słowo samo w sobie piękne, nabiera większej jeszcze pełni, działa silniej i głębiej, zwiększa ogólne wrażenie estetyczne.

Dobór pisarzy i dobór tematów to znów inna chluba tej artystycznej imprezy, jeśli abstrahować od supremacji Zegadłowicza, którego zacny wydawca, może ze szkodą dla innych talentów, zanadto faworyzował. Wielką natomiast zasługą Kuglina pozostaje, jeśli nie odkrycie — to lansowanie poetów młodych o bardzo indywidualnem obliczu twórczem: Czuchnowskiego („Poranek goryczy"), Rusinka („Błękitna defilada"), Sztandyngera („Ballady Poznańskie"). Właśnie tomikami przez Kuglina wydanemi zwrócili młodzi ci poeci na siebie uwagę. Natomiast dziwnie bez głośniejszego echa przeszły „Pieczęcie" Marjana Sewiego, poezje w guście Lieberta i niektóremi akcentami równe Liebertowi. „Pieczęcie", zaopatrzone w serdeczną przedmowę Jana Sztandyngera, były delikatnem uczczeniem pamięci przedwcześnie zgasłego poety, którego debiut spoza grobu dużo obiecywał.

W myśl zapowiedzi wydawcy nietylko literatura piękna miała być reprezentowana w Bibljotece Studwudziestu, ale echo swe znaleźć miały wielkie wydarzenia kulturalne Polski, szczególnie zaś Poznania. Kuglin obietnicy dotrzymał. Harmonijnie obok siebie stanęły tomiki, poświęcone wielkiemu malarzowi, wielkiej artystce dramatycznej, znakomitym pisarzom, sławnemu muzykowi. Pierwszym tomikiem z tej dziedziny była książeczka Jana Kuglina o „Dziesięcioleciu książki Emila Zegadłowicza w Poznaniu". Książeczka ta jest dokumentem czasu i dowodem, jak Poznań pragnął przykuć i uczcić artystę, w którego talent i szlachetność wierzył. Nie będziemy wywlekać tej przykrej historji — ale faktem pozostaje, że Zegadłowicz nie odpłacił Poznaniowi sercem za serce.

Trzydziestopięciolecie pracy artystycznej Stanisławy Wysockiej uczcił Poznań w wydawnictwie Kuglina tomem p. t. „Stanisława Wysocka", którego autorem jest zasłużony dla kultury Poznania Stefan Papeé. Tom ozdobiony jest winjetą okładkową St. Kuglina i 12 reprodukcjami w fototypji na grubym, kutym papierze. Śmierć Stanisława Przybyszewskiego uczcił Kuglin piękną „Księgą Pamiątkową", którą do druku przygotował Stefan Papeé, podobnie jak i „Księgę Pamiątkową", ku uczczeniu 80-ej rocznicy urodzin Leona Wyczółkowskiego. Na tę po kuglinowsku starannie i wytwornie wydaną pracę składają się artykuły i wspomnienia literatów i artystów stale w Poznaniu mieszkających i pracujących, a zdobią ją reprodukcje wybitnych prac Wyczółkowskiego — techniką fototypji na białym, cienkim papierze czerpanym. Książka jest prawdziwem cackiem i dowodem wielkiego artyzmu Kuglina-typografa.

Zupełnie świeżo zaś ukazało się w 25 rocznicę śmierci Karłowicza arcydzieło kunsztu graficznego — książka, na jaką tylko Kuglina stać. W przedmowie tłumaczy Kuglin tę książeczkę w następujący sposób:

„W dwudziestopięcioleciu Jego zgonu, należałoby postawić pomnik — nie głaz — lecz pomnik monografję, poświęconą jako wyraz hołdu Karłowiczowi - Człowiekowi i Twórcy. Pomnika takiego, nie wątpimy, Karłowicz się doczeka... Chwilowo pod pomnik ten rzucamy kilka cegiełek. Książeczkę niniejszą poświęcamy tym, którzy „w twórczości Karłowicza znaleźli chwilę ukojenia, oraz tym, których, jak Jego—w obliczu majestatu gór — owiewa potężny, wiekuisty oddech wszechbytu".

Postrzępione brzegi czerpanego papieru, na którym książeczka jest drukowana, jakby oddawała profil umiłowanych przez wielkiego kompozytora gór — i które równie serdecznie miłuje Kuglin. Tomik redagował młody muzyk poznański, Jerzy Młodziejowski, pozyskawszy dla tego pięknego hołdu pióra ludzi albo blisko stojących wielkiego muzyka, jak Z. Wasilewski i gen. Zaruski — lub znakomitych znawców jego twórczości, jak Opieńskiego i Chybińskiego.

Wszystkie wspomniane „hołdy", jakie wyszły z oficyny Kuglina, przygotowane pod jego osobistym nadzorem, pozostaną jako trwała pamiątka, nietylko po subtelnym i wrażliwym artyście w swej sztuce, jakim jest Kuglin, ale jako cenne przejawy sumienia artystycznego Poznania, poznańskiego ruchu kulturalnego przez współpracę w tych monografjach pisarzy i artystów w Poznaniu mieszkających i z Poznaniem związanych.

Osobne słowo należy się stosunkowi, jaki łączy Kuglina z Kasprowiczem. Nie wiedzieć, czy jest on wynikiem sumienia obywatela Poznania, do którego Kuglin szczerze jest przywiązany, i czego tak często dał dowody — czy też należy Kasprowicz do ulubionych pisarzy artysty - typografa. Prawdopodobnie jedno i drugie. Kasprowiczologję poważnie wzbogacił tom z „Bibljoteki Studwudziestu" — p. t. „Lata szkolne Jana Kasprowicza", którego autorką jest Wanda Brzeska. Jako druki prywatne wyszły ku czci Jana Kasprowicza wiersz Sztandyngera: „Kasprowicz" i Zegadłowicza „Chleb i wino". Wreszcie, również jako druk prywatny w 30 egzemplarzach formatu 21 × 30 ukazała się „Moja pieśń wieczorna". Składał i tłoczył ją Kuglin sam na uczczenie przeniesienia zwłok poety do grobowca na Harendzie. W druku użył Kuglin po raz pierwszy antykwy Półtawskiego, czcionki — jakby stylu romańskiego — i choć określenie to wydawać się może dziwne, narzuca się ono nieodparcie, kiedy się spogląda na tekst. Prawie każdy z tych trzydziestu egzemplarzy jest inny. Jedne iluminowane są bogato z całym przepychem starego kunsztu iluminacyjnego, inne nieco mniej, inne mają tylko początkowe „C" tłoczone złotem. Najoryginalniejszy jednakże jest układ graficzny pomysłu Kuglina. Większa część „Pieśni" ma specjalny układ, który poza wrażeniem czysto wzrokowem, silne wywiera wrażenie, jako sposób odczuwania poety przez typografa. Ani przez chwilę nie powstaje myśl, że typografowi chodziło jedynie o efekt zewnętrzny, który nie ma uzasadnienia emocjonalnego. Niepodobna nie przyznać, że jest to wysoce oryginalny hołd, złożony największemu poecie ostatniej doby, hołd bardzo wrażliwego artysty — i hołd miasta, które stało się spadkobiercą pracowni i bibljoteki wielkiego syna swej ziemi.

Rzewny i serdeczny stosunek Kuglina do swojej ziemi rodzinnej, Śląska Cieszyńskiego, znajduje również wyraz w szeregu wydawnictw i przedmowach, które Kuglin sam napisał czy to do Morcinka „Ondraszkowych ostatków", czy X. Grima „Wandy". Kuglin łączy w sobie wszelkie zalety ludu podbeskidzkiego: cichą, wytworną prostotę i skromność, wielką wrażliwość na wszelkie przejawy piękna, szczególnie piękna przyrody, pierwotną, tęskną polskość, gorące umiłowanie ziemi ojczystej i przez nią całej wielkiej Ojczyzny. — Kiedy tylko czas na to pozwala, wyrywa się Kuglin w swoje strony, przepada w górach, daje upust swej tęsknocie w samotnych przechadzkach, by nie mieć świadków swego wzruszenia, a kiedy odbył spowiedź samotną swej tęsknoty — łączy się z przyjaciółmi, by nabrać jaknajwięcej tej atmosfery stron rodzinnych dla swej pracy przy dalekim od gór warsztacie. Gdzie tylko coś ciekawego o Śląsku wydać się nadarzy — Kuglin ofiaruje swe usługi. I tak wyszła niedawno „Officina Ferraria", o której pisaliśmy na tem miejscu, ukazała się „Pieśń o Śląsku" Zegadłowicza, a w przygotowaniu znajduje się „godowe" wydanie „Wesela Śląskiego" Ligonia.

Twórczość Kuglina w Poznaniu — to ważna i cenna pozycja w dorobku kulturalnym współczesnego Poznania. I my, Wielkopolanie, którym rozwój kulturalny naszej stolicy leży na sercu, mamy w odniesieniu do Kuglina jedno tylko życzenie: by nam się w Poznaniu długo uchował, by mimo coraz bardziej kiepskich czasów nie stracił swego iście młodzieńczego entuzjazmu twórczego.

Zdzisław Broncel

Cnoty i grzechy Imci Pana Bartłomieja

Kiedy rozcinałem pierwsze kartki „Pamiętników Bartłomieja Michałowskiego"[1]), wydanych świeżo przez prof. Henryka Mościckiego, anim się spodziewał, że stary Henryk hr. Rzewuski, autor „Pamiątek Soplicy" i „Listopada" może być lekturą tak aktualną, jak to się potem okazało. I co więcej, szczerze mówiąc, książką ciekawszą od niejednej dzisiejszej powieści, nawet z tych, co mają na sobie opaskę „nagroda taka to a taka za rok..."

„Pamiętniki Michałowskiego" ukazały się po raz pierwszy w r. 1857, oczywiście są utworem Rzewuskiego, a nie autentycznemi wspomnieniami szlachcica z 18-go stulecia. Ich bohater i udany autor, Bartłomiej Michałowski, pochodzi ze skromnego rodu szlacheckiego, własnym sprytem, gładkiem słowem, przezornością dorabia się intratnego starostwa, kamieniczki w Warszawie i sporego kapitału, leżącego na procencie w banku Teppera.

Urodził się Michałowski w r. 1733, najczynniejszy okres jego życia przypada na ostatnie lata Augusta III Sasa i panowanie Stanisława Augusta. Służył w wojsku Marji Teresy, Szambelanował i Augustowi III i Poniatowskiemu rozmawiał z Fryder. Wielkim, Katarzyną II; na dworze królewskim stykał się blisko z potężnymi magnatami polskimi: Jaxą Branickim, hetmanem wielkim koronnym, z hetmanem wielkim litewskim — Radziwiłłem i synem jego, Karolem „Panie Kochanku", z kanclerzem Czartoryskim, z Salezym Potockim, wojewodą kijowskim; poznał przy stole obiadów czwartkowych Krasickiego, Naruszewicza, Wyrwicza, Trembeckiego, Węgierskiego, Zabłockiego.

Tak więc pamiętniki tego pół-dworaka, jakim był Michałowski, muszą dawać obraz polityczny i obyczajowy schyłku epoki saskiej i okresu stanisławowskiego. Ten drugi nie występuje tak wyraziście, jak pierwszy. Rzewuski, wróg nowatorstwa, zachodniego demokratyzmu, czciciel Targowicy, nie mógł poznać się na umysłowem odrodzeniu, które przyszło do nas za Stanisława Augusta i pisząc dzieło, mające być apoteozą sarmatyzmu, szlacheckiej Polski, napisał właściwie pamflet na szlachtę. Rzewuski i Michałowski mogliby być rodzeni z tej samej matki — bohater Rzewuskiego, to on sam, przeniesiony — jak mówi w przedmowie Mościcki — w tamte czasy. Dlatego właśnie książka ma wartość świadectwa, jakie sam sobie wystawia pewien typ człowieka. Z charakteru Michałowskiego można wyprowadzić chyba wszystkie nasze wady narodowe, w jego pseudo-zaletach, widzianych przez Rzewuskiego, jako cnoty, jest nieraz takie wsteczníctwo, brak godności narodowej, ukryte warcholstwo i potężne głupstwo, że nawet teraz trzeba się rumienić za tego naszego pana brata sprzed dwóch wieków. Charakterologja Michałowskiego to istny wykład przyczyn upadku Polski.

Ale jest i druga strona medalu. Prądy idące z Zachodu przynosiły z sobą kosmopolityzm, indyferentyzm religijny, rozluźnienie obyczajów i podrywały to wszystko, na czem opiera się w człowieku poczucie obowiązku. Tu, — gdy czytamy te zapiski i widzimy staropolską cnotę, siłę związków rodzinnych — chciałoby się zawołać, że to jest przecież lekcja na dziś, że nieraz szlachecka solidarność imponuje nam wobec współczesnej handlarskiej etyki.

Słowem w „Pamiętnikach Michałowskiego" można dopatrzeć się ukrytego morału na czasy dzisiejsze. W wadach dostrzec podobieństwo do teraźniejszości, a w prawdziwych, rzetelnych zaletach wskazówki na dziś.

W tem właśnie sedno rzeczy. Tak trzeba patrzeć na tę książkę, bo od strony wydarzeń politycznych roi się od fałszywych ocen i fałszywego przedstawiania rzeczy. Rzewuski, pełen uwielbienia dla Rosji, nie mógł wypisać pochwał dla Konfederacji Barskiej, czy reform ustrojowych. Katarzyna jest u niego okiem opatrzności, czuwającem nad Polską, a takie np. sprawy, jak głośne wywiezienie trzech senatorów do Rosji — Rzewuski ocenia w „Pamiętnikach" jako zbawienne dla Rzplitej.

A teraz do rachunku sumienia! Niechno stanie przed nami Imć Pan Bartłomiej i okaże swoje grzechy i cnoty.

Zaczyna Michałowski od wspomnień z dzieciństwa, prezentacji domu i rodzeństwa. I odrazu aż bierze nas podziw nad tą rodzinną solidarnością. Brat dopomaga bratu, siostrze, kiedy jednemu dobrze się powodzi, drugi napewno biedy nie zazna — wykłada Michałowski zalety tego systemu „rodzinnej ubezpieczalni" (jakby napisał W. Wasiutyński). Przez cały ciąg „Pamiętników" sprawy majątkowe Michałowskiego ściśle łączą się z interesami rodziny. Oto brat wpadł w biedę — dalej osadzić go na ziemi, siostrze - wdowie źle się dzieje, jużto brat - kanonik postara się o poprawę bytu, zawierucha domowa zniszczyła miecznika Michałowskiego, wnet szambelan Michałowski powierzy mu swoje oszczędności, żeby ratował gospodarstwo. A w młodości, który pierwej wyżej pojedzie, ten ciągnie młodszych. Najstarszy ma rodzicielską władzę nad resztą i byłoby hańbą dla niego, gdyby ich, jak rodzonych dzieci nie wykształcił, nie uposażył i nie wprowadził w życie.

Wyrasta stąd także siła kontroli moralnej. Odpowiada się nie za siebie, nie za swoje widzimisię, ale za ród, za herb, za n a z w i s k o. Splendor, który spłynie na jednego Michałowskiego, okrywa blaskiem całą rodzinę — pan miecznik już inaczej będzie kładł rękę na karabeli, gdy jego brat otrzyma order domu saskiego. Gdyby zaś spadła infamja na Bartłomieja, nie będzie się mógł miecznik pokazać na sejmiku.

A serce rodziny — matka?

Oto jak pisze Michałowski o swem rozstaniu przy wyjeździe na służbę austrjacką.

„Ta cnotliwa matka miłowała nas po bożemu, córki czasem popieściła, synów nigdy; owszem groźnie z nami postępowała, dając nam czuć swoją władzę. Wszyscyśmy się jej bali, nawet regent, choć urzędnik, ojciec dzieciom, nigdy bez jej nalegania nie odważył się usiąść w jej przytomności. Księdza Antoniego, że był kapłanem, szanowała, i nietylko groźby, ale żadnej poufałości sobie z nim nie pozwalała. Zawsze sama przystawiała mu krzesło, ile razy w jej domu ją nawiedzał; ale w afekcie macierzyńskim żadnej między nami nie robiła różnicy Kiedy mnie błogosławiła, spostrzegłem jak łza zakręciła się w jej oku. Na ten widok własnej czułości nie umiałem ukryć, rozpłakałem się serdecznie, z czego się wielce zawstydziłem, a niepotrzebnie, bo tem nic nie utraciłem w opinji generała".

Ranny w wojnie austrjacko-pruskiej, na którą go właśnie matka opatrywała, Michałowski już w randze sztabs-oficera cesarskiego jedzie na południe Francji leczyć się u wód. W drodze spotyka Stanisława Poniatowskiego, stolnika litewskiego. Było to w Strassburgu. Michałowski zatrzymał się w pewnej austerji i dowiaduje się, że stoi w niej także dwóch Polaków. I oto, piękny obraz poczucia związku narodowego:

„Skoro się dowiedziałem o pobycie tych panów pod jednym ze mną dachem, lubo nie miałem zaszczytu być im znanym, stosując się do zwyczaju szlachty polskiej poczytałem za obowiązek starać się do nich być zbliżonym".

Ze Strassburga, za namową Poniatowskiego, jedzie przedstawić się królowi Leszczyńskiemu w Lunewilu. Gościnnie przyjęty, zostaje tam do Wielkiejnocy i ma sposobność do takiej notatki:

„Nadeszła Wielkanoc, którą król obchodził wedle polskich obyczajów. Po nabożeństwie, jak zwykle, kazał zaprosić na święcone wszystkich tych, którzy byli w kościele. Można sobie wyobrazić, jaki tłum wtłoczył się do pałacu, była to mieszanina wszystkich stanów w równości religijnej, jedynej, jaka może istnieć na tym padole płaczu. Król i panowie dworu roznosili wszystkim pokrajane jaja i u jednego stołu pożywali poświęcane jadło, ciesząc się wspólnie rocznicą Zmartwychwstania wcielonego Boga i Odkupiciela rodu ludzkiego".

W tem świadectwie iście polskiej tradycji jest charakterystyczna uwaga o równości religijnej. Michałowski nazywa ją jedyną, jaka może być na ziemi. Tu djabeł pokazał rogi. Odezwał się szlachcic z doby saskiej. Dawniejby dodano, że jest jeszcze równość druga — szlachecka. Michałowski zna dobrze współczesne mu stosunki i już z tej równości ustępuje, kłania się nisko magnatom, mieni się przed nimi chudopachołkiem i powiada sobie, że niema co zwykłemu szlachcicowi cisnąć się tak wysoko. Michałowski wie, że tam rozstrzygają się sprawy polityczne — świadomie rezygnuje z wszelkiej próby oddziaływania na ich bieg. Co tam potencje rozstrzygną, to on przyjmie. Niech będzie król, jaki chce, byleby był, byle były sądy i pomyślna konjunktura dla szlacheckiej gospodarki. Byle intraty z dzierżaw dochodziły. Ten indyferentyzm polityczny robi potrosze kosmopolitę z tego, zdawałoby się, arcy-sarmaty.

Michałowski ma moralność religijną, ale nie ma narodowej. Michałowski ma braci - szlachtę, ale nie ma matki - Polski. Kiedy obraża się na króla, to pakuje manatki, żeby jechać do Wiednia, pod poddaństwo austrjackie; nie żal mu, że dostał kulę w krzyże w najemnej służbie cesarskiej —ale od Konfederacji Barskiej odżegnywuje się. Woli siedzieć cicho w swojem starostwie.

Po pierwszym rozbiorze, bawiąc za interesami na Białej Rusi, już w granicach Rosji, wysławia dobroć imperatorowej i nie zdając sobie sprawy, jak się poniża, wypowiada następujące sądy:

„...nawet były przykłady, że szlachta mająca dobra w Polsce, przenosiła się do Białej Rusi, jako to: hrabia Plater i książe Ksawery Lubomirski".

Dlaczegóż to? Bo „nikt nie ucierpiał na swojej własności, nikomu ż a d n e j k r ó l e w s z c z y z n y nie odebrano..." Michałowski czuły jest na sprawy pieniężne. W czasie bezkrólewia po śmierci Augusta III ucieka się o protekcję do Repnina i sprowadza rosyjskich żołnierzy, żeby przeciwnika wykurzyć ze starostwa. Michałowski peroruje o bezinteresowności służby publicznej, a sam unika godności, których sprawowanie uszczupli szkatułę. W tem jest nieodrodnym synem saskich czasów.

Jest coś wprost przerażającego w braku godności tego człowieka, który zgodzi się na każdy reżym, każdy rząd, byle była sprawna policja, bezpieczeństwo i procenty. Wskutek takich Michałowskich Polska stawała się domem publicznym dla cudzoziemców. Wybierano z Polski to, co wtenczas było najpotrzebniejsze: zaciężnego żołnierza. Nie mieliśmy wojska, a rekrut szedł przelewać krew za obce sprawy. Podobnie jak dziś, gdy wszystko woła u nas o pracę, o naprawę, a polskiego robotnika kupuje obcy kapitał. Jak dawniej rekruta, tak teraz zagranica zabiera pieniądze i robotnika. Publiczny dom dla obcego kapitału!

Tysiąc zdań możnaby zaczynać od „podobnie, jak dziś". Gdyby w pewnych fragmentach o protekcji, o zabieganiu o posady, o ordery popodstawiać inne nazwiska, otrzymalibyśmy gryzącą satyrę na rok 1934! Na każdej stronie jest tu lekcja. Wczytać, zastanowić się, a poczujemy nietylko lekcję, ale chłostę i rumieniec wstydu.

Przytoczmy dla przykładu uwagę o żydach w kresowych powiatach Rzplitej. Michałowski podkreśla, że cały handel w tych stronach był w ich ręku, gdyż tylko żydzi przez swoje usposobienie, mogli handlować w stronach, narażonych na napady Krymu, Zaporoża i Hajdamaczyzny. „Jeżeli który z nich był złupiony napadem, c a ł y k a h a ł p o n o s i ł szkodę; a jeżeli jej wynagrodzenie przechodziło jego zamożność, inne zamożniejsze kahały s z ł y m u w p o m o c i wszystko się ułatwiało mądrym wpływem rabinów".

Czyż znowu nie zawstydzające pouczenie na rok bieżący?

Nie oczekiwałem, że „Pamiętniki Michałowskiego" przeczyta się tak, jak wystąpienie publicystyczne. Myślałem, że utknę na drugiej stronie. Jest tam jednak jeden taki magnesik, który przeciąga do strony trzeciej, czwartej, póki się nie uchwyci niespodziewanej aktualności tej książki.

Tym magnesem jest anegdota. „Pamiętniki" nietylko uczą. Bawią doskonale. Skarbiec ówczesnych djalogów, sekretnych informacyj o królach, książętach i magnatach, sceny z życia arystokracji, z życia Radziwiłłów, Potockich, różne szlacheckie „relata refero" — słowem, jak w czarodziejskiem zwierciadle — całe „za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa".

[1]) Henryk hr. Rzewuski: „Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego". Wydał Henryk Mościcki. Str. 291. Warszawa. Ultima Thule. 1934.

Sędziwy jubilat



Aleksander Michałowski obchodzi w tym roku 65-ciolecie pracy artystycznej.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Zdewaluowane przymiotniki

Słowa są poniekąd instytucjami. I jak instytucje mają swoje dzieje: okresy, kiedy są nowe i gorszące, kiedy są modne, kiedy są popularne, kiedy są czcigodne, kiedy są przebrzmiałe i kiedy znaczą zupełnie co innego, niż na początku.

Tak naprzykład — poczciwy. Był czas kiedyś, że znaczył tyle, co prawy, zacny, był słowem zaszczytnem. A dziś mówi się: „To taki poczciwy człowiek". Przestało być zaszczytne, trudno!

Natomiast nie zwrócono uwagi na podobną ewolucję, grożącą innemu przymiotnikowi, dotąd również z zakresu zaszczytnych — słowu: poważny. Zobaczycie, nie minie lat kilkadziesiąt, a będzie się mówiło: „E, to taki poważny człowiek!". Chwilowo słowo to znajduje się w stadjum popularności, choć pojawiają się oznaki, wskazujące, że niewidocznie zmierza ona do zmiany swego stanu cywilnego.

Jeżeli tak się dzieje, to winne są, temu, proszę panów, wyłącznie okoliczności. Bo tak się dziwnie składa, że w Polsce od lat kilkudziesięciu conajmniej nie udawało się nic, co było robione „poważnie", a wszystko, co dało rezultaty, dokonywało się drogą „niepoważnej roboty". A skutki ponosi biedny przymiotnik. I dochodzi, proszę panów, do tego, że dziś zarzut „to jest niepoważne!", brzmi prawie jak pochwała, niesie z sobą zapowiedź pomyślności, a określenie, że co „trzeba poważnie przygotować", staje się dyplomatycznym synonimem chęci ukatrupienia czegoś.

Wartoby się nad tem dziwnem fatum poważnie zastanowić. Bo może to nietylko w Polsce tak jest?

„Co miesiąc, potem, co dwa tygodnie usiłowaliśmy zrobić „zgromadzenie". Zaproszenia pisało się na maszynie do pisania, a częściowo i ręką na kartce i spoczątku samemu rozsyłało, to znaczy roznosiło.

Przypominam sobie, jak w tych pierwszych czasach rozniosłem sam osiemdziesiąt takich kartek i jak potem wieczorem czekaliśmy na masy ludowe, które powinny były przybyć. Z godzinnem opóźnieniem musiał „przewodniczący" otworzyć „zgromadzenie". Było nas znowu siedmiu, tych starych siedmiu".

Prawda, jakie to niepoważne?

A ciekaw jestem, ile też setek, a może tysięcy marek zapłaciliby dziś za taki autograf na kartce z zaproszeniem. Dziś, kiedy miljony umundurowanych i uzbrojonych zajęło miejsce tych starych siedmiu, tych pierwszych członków niepoważnego „klubu", jak go nazywa nasz wyżej cytowany autor, klubu, który przybrał niepoważną nazwę „Nazional-Sozialistische Deutsche Arbeiterpartei", a autor niepoważny tytuł „Führera", czyli wodza.

Ale mówmy poważnie...

Trzeba ratować powagę powagi, podobnie, jak to czynił jeden przewodniczący na pewnem zgromadzeniu, którego miałem zaszczyt być uczestnikiem, wołając: „Proszę państwa, zachowajmy powagę chwili!".

Zdewaluowało się i inne słowo: przymiotnik „prosty". Do tego stopnia, że na osierocone po nim miejsce wynaleziono już następcę, o odmiennych dawniej funkcjach, mianowicie „bezpośredni". Nastąpiło, jak z tego widać, przeszeregowanie, a „bezpośredni" musiał mieć dużą protekcję.

Prostotę więc dziś nazywamy bezpośredniością. Prostota jest to wyrażenie „fi donc!", mówmy więc o bezpośredniości. Bezpośredniość łączy się najczęściej z brakiem powagi. Tak się fatalnie w Europie składa, że upada kultura i powaga, a coraz więcej wyłazi na wierzch chamska hydra bezpośredniości.

Nie chciałbym być zbyt bezpośredni, więc jako przykład bezpośredniości podam słowa cytowanego wyżej autora, który w młodości za nic nie chciał zostać urzędnikiem, tylko malarzem, a został urzędnikiem i to najwyższej kategorji:

„Jeszcze dziś (1925) nie mogę dostatecznie ustrzec naszego młodego ruchu przed tak zwanymi „cichymi pracownikami". To są nietylko tchórze, ale także niedołęgi. Człowiek... ma przeklęty obowiązek i dług nie pracować w „ciszy", ale jaknajotwarciej wystąpić przeciwko złu i dla swego ocalenia. Jeśli tego nie robi, to jest nieobowiązkowym słabeuszem, który albo z tchórzostwa odmawia, albo z lenistwa i niedołęstwa. Większość tych „cichych pracowników" postępuje w dodatku tak, jakby Bóg wie co wiedzieli".

Oto wzór apelu — „bezpośrednio z mostu".

P. S. Prosto i poważnie oświadczam, że nie jestem wielbicielem Hitlera.

A szkoda!

W ostatnim numerze „Pionu" ukazała się odpowiedź p. Tadeusza Święcickiego na mój list otwarty, zamieszczony w n-rze 10-tym „A B C literacko-artystycznego". Odpowiedź nosi tytuł „Szkoda". P. Święcicki zapewnia uprzejmie, że uważałby za swój obowiązek przeprosić mnie publicznie za wyrządzoną mi niesłusznym zarzutem p. Skiwskiego (w sprawie przedruku Celine'a) krzywdę, która nie leżała w intencjach pisma — ale uważałby to za obowiązek tylko wtedy, gdyby... Okazuje się więc, że udzielenie satysfakcji za u z n a n ą krzywdę nie jest sprawą, rozumiejącą się samo przez się; może być uzależnione od jakiegoś „gdyby".

W danym wypadku „gdyby" polega na tem, że — według opinji p. Święcickiego — powinienem był poprzestać na polemice z niesłusznie postawionym mi zarzutem, a nie wysuwać nadto zarzutu przeciw p. Skiwskiemu (w sprawie aide-memoire), który to zarzut uważa p. Święcicki za jeszcze bardziej krzywdzący — p. Skiwskiego.

Na samym wstępie zaznacza p. Święcicki dwukrotnie, że poczuwa się do współodpowiedzialności za to, co napisał p. Skiwski. Zapewne więc czytał d o k ł a d n i e co napisał p. Skiwski w podniesionej przeze mnie sprawie niedopuszczalności stosowania w walce polemicznej n i e u c h w y t n y c h a l u z y j (takiego użyłem określenia) do życia prywatnego przeciwnika. Jak wiadomo, słowa odpowiedzi p. Skiwskiego brzmiały:

„Osoba zainteresowana otrzymała odemnie aide-memoire, obiecujące z u p e ł n ą u c h w y t n o ś ć w razie z b y t n i e o g l ę d n y c h p r z e c i w m n i e wypadów polemicznych".

Zupełną uchwytność czego? — z powiązań polemicznych wynikałoby, że uchwytność a l u z y j, co znów logicznie biorąc zdawało się oznaczać pogróżkę babrania się w życiu prywatnem. Ale jeśli nawet p. Skiwski, jak teraz twierdzi, miał na myśli wbrew logice słów jakąś inną uchwytność (czego — nadal nie określa i znów według swego zwyczaju rzecz formułuje nieuchwytnie), to i tak istota sprawy pozostaje niezmieniona. A polega ona na tem, że jest osoba, której p. Skiwski przesłał „aide-memoire", grożące jakąś tajemniczą uchwytnością — „w r a z i e z b y t n i e o g l ę d n y c h w y p a d ó w p o l e m i c z n y c h p r z e c i w k o n i e m u".

Łudziłem się, że p. Tadeusz Święcicki uzna za konieczne zająć w t e j sprawie stanowisko, zwłaszcza wobec przyjętej współodpowiedzialności i temwięcej, iż znana mu jest zapewne c a ł o ś ć owego „aide-memoire", z którego p. Skiwski ogłosił obecnie fragment. Dowiedziałem się natomiast, że podanie w wątpliwość poczytalności wysyłającego tego rodzaju „aide-memoire'y" — jest krzywdzącym zarzutem...

Wystarczy. Skoro zaś p. Święcicki kończy swoją odpowiedź lirycznem westchnieniem za straconemi w stosunku do mnie złudzeniami: „szkoda!" — to wydaje mi się, że mam tembardziej prawo odwzajemnić się moją stratą złudzeń: a szkoda!

Stanisław Piasecki.

P. S. P. Skiwski zamieścił w „Pionie" artykuł p. t. „Proszę o sąd". Jest to łaskawa zgoda na sąd honorowy i pozwanie przed taki sąd również i mnie. P. Skiwskiemu znane są chyba ustalone zwyczaje, stare, ale ściśle określone, któremi można skierować na tę drogę sprawę „naszej osobistej odpowiedzialności". Ale gdy p. Skiwski układa sobie jednostronnie zapis do sądu na łamach „Pionu", a nadomiar wstawia do tego osobliwego zapisu punkt, polecający sądowi honorowemu wydanie werdyktu ni mniej ni więcej, tylko o... moralności narodowo-demokratycznej, to pozostaje mi chyba odpowiedzieć propozycją, aby pięciu panów (po dwóch z każdej strony plus arbiter) wydało również wyrok o moralności sanacyjnej, na początek rozważywszy takie sprawy, jak np. Brześć.

Przyszła historja nic wtedy nie będzie miała do roboty. Wystarczy, jak wpisze pod rubrykami „endecja" i „sanacja" gotowe wyroki sądów honorowych.

St. P.